



fot. Kinga Karpati

Jerzy

Jacek Kopciński

Nie umiem pisać nekrologów. Ale spróbuję niewielkiego wspomnienia. Wspomnienia o człowieku, którego cenilem, szanowałem i bardzo lubilem, z którym dobrze się rozumiałem, i to bez zbędnych słów. Wystarczyło jedno zdanie, czasem spojrzenie czy uśmiech.

Profesor Jerzy Limon, Jerzy, Jurek... Zналиśmy się szesnaście lat, zdecydowanie za krótko. W 2005 roku zostałem jurorem w konkursie o nagrodę Złotego Yoricka. Moim zadaniem było przejechać się po Polsce, obejrzeć kilka szekspirowskich przedstawień i zarekomendować Jerzemu najlepsze. Zwycięski spektakl miał być pokazany podczas Festiwalu Szekspirowskiego.

Długo wahałem się między *Ryszardem III* z Teatru Ludowego w Nowej Hucie w reżyserii Jerzego Stuhra a *Romeem i Julią* w inscenizacji Krzysztofa Rekowskiego z Teatru im. Cypriana Kamila Norwida w Jeleniej Górze. Wybrałem spektakl Rekowskiego, młodego wówczas reżysera, trzy lata po debiucie, ale zasugerowałem, żeby obu przedstawieniom dać tylko wyróżnienie, pierwsze i drugie. Sam wtedy debiutowałem jako juror i do dzisiaj nie wiem, czy dobrze zdecydowałem. Pamiętam jednak, że Jerzy przyjął mój werdykt bez mrugnięcia i zaprosił do Gdańska spektakl jeleniogórski, choć pewnie *Ryszard III* ze Stuhrem w roli tytułowej byłby większym wydarzeniem na festiwalu.

I tak było zawsze, ilekroć w następnych latach miałem zaszczyt uczestniczyć w pracach jury Złotego Yoricka. Jerzy nigdy nie podważał naszych wyborów, choć z pewnością nie zawsze się z nimi zgadzał. A gdy niektóre z nich wywoływały kontrowersje, publicznie podkreślał niezależność jurorów. Zapamiętałem to jako najlepszą lekcję uczciwości, lojalności i klasy.

Jerzy był wieloletnim dyrektorem jednego z najważniejszych festiwali teatralnych w Polsce, co rzecz jasna wiązało się z ogromną ilością obowiązków i stresu. Nigdy jednak nie słyszałem z jego ust najmniejszej złośliwości pod adresem nie zawsze słownych artystów, nie zawsze rzetelnych dziennikarzy czy nie zawsze terminowych urzędników. Z pewnością o różnych ludziach miał swoje zdanie, ale nawet gdy ktoś zalażał mu za skórę, wołał z niego zażartować, niż mu złorzeczyć.

Zrobił coś, czego nikt inny w naszych czasach nie zrobił – wymarzył sobie budowę Teatru Szekspirowskiego w Gdańsku, przekonał do tej idei setki ludzi, od których w ciągu wielu lat zależało jej powodzenie, powołał Fundację Theatrum Gedanense, w której skompletował fantastyczną ekipę oddanych mu pracowników, zainicjował konkurs na projekt teatru i rozpoczął jego budowę, wreszcie doprowadził do otwarcia imponującego gmachu i zappełnił go publicznością oraz aktorami z całego świata. Czy sądzicie, że wszyscy mu sprzyjali w tym niesamowitym dziele? Mimo to, gdy spotykaliśmy się latem, nigdy nie narzekał, przeciwnie, tryskał optymizmem.

O pokrętnej naturze człowieka uczył się oczywiście od Szekspira, którego znał na pamięć i cytował w oryginale, bawiąc się wieloznacznością słów, często nieprzyzwoitych. Filolog-erudyta, miał ogromne poczucie humoru, a erotyka w sztukach Stratfordczyka wprost go urzekała. Napisał o niej całą księgę! Kiedy jednak w Warszawie, prowadząc jedno ze spotkań poświęconych temu świetnemu leksykonowi, prowokowałem go do grubszych żartów, lekko się zaczerwienił.

Klasa Jerzego przejawiała się także w jego ogromnej pracowitości i jeszcze większej skromności. Między rokiem 2002 i 2011, a więc w czasach ze względu na przygotowania do budowy teatru bardzo pracowitych, wydał pięć ważnych książek, których tytuły chciałbym tu przypomnieć: *Między niebem a sceną. Przestrzeń i czas w teatrze; Trzy teatry: scena, telewizja, radio; Piąty wymiar teatru; Obroty przestrzeni. Teatr telewizji. Próba ujęcia teoretycznego; Brzmienia czasu. O aktorstwie i mowie scenicznej*. Do tego trzeba dodać liczne artykuły, publikowane w Polsce i za granicą. Nigdy jednak nie słyszałem, by się przechwalał swoim naukowym dorobkiem. Albo narzekał na lekceważenie, z jakim część środowiska polskich teatrologów przyjmowała jego rozprawy, choć tylko on potrafił z taką precyzją opisać „maszynę semiotyczną” w teatrze.

Jerzy się nie wywyższał i pewnie dlatego tak wielu chciało z nim pracować, współpracować lub choćby mu kibicować. Potrafił rozmawiać z artystami i z krytykami, angielskimi arystokratami i miejskimi politykami, przyciągał do siebie ludzi różnych pokoleń i dla wszystkich był autorytetem. Nie miał w zwyczaju popisywać się swoją wiedzą, raczej pozwalał mówić innym, choć wszyscy chętnie go słuchali. Był prawdziwym dżentelmenem, to znaczy wiedział, że orły są szare.

Mógłbym znaleźć w Szekspirowskich monologach stosowne słowa o schodzeniu ze sceny, którą jest świat, ale obawiam się, że Jerzy skwitowałby to uśmiechem. Wolałby pewnie, by na koniec zacytować coś bardziej dosadnego. Może słowa Leara z czwartego aktu: „I will die bravely, / Like a smugbridegroom”? Błyskotliwą egzegezę tej nie całkiem przyzwoitej frazy znajdziecie w *Szekspirze bez cenzury*, w haśle „Die”. Czytam ją dzisiaj przez łzy.